

Jadwiga Mizińska

Prometeusz i Anteusz : Żydzi wobec komunizmu

Nowa Krytyka 5, 206-223

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Suwara dochodzi do interesujących wniosków, że obecnie przyjmowane formy "determinizmu epistemologicznego" wydają się oznaczać "indeterminizm ontologiczny", co jest niezgodne ze sferą eksperymentu, a co – jego zdaniem – może uzasadniać nawet rezygnację z tej kategorii filozoficznej.

Książka krakowskich filozofów jest ważną i ciekawą pozycją na ubożającym rynku wydawniczym. Już sam fakt, że autorzy doprowadzili do jej wydania jest sukcesem. Przedstawiono w niej artykuły faktycznie podejmują aktualną problematykę filozofii przyrody i stanowią pozytywny wkład w jej rozwój. Ich prace cechuje orientacja ogólnie określana mianem ewolucyjnej, choć sposoby rozumienia ewolucji mogą być różne, co jest zrozumiałe, bowiem każdy z autorów widzi tę kwestię z osobistego punktu widzenia, który określa jego pozytywna wiedza merytoryczna. Język, którym się posługują, jest prosty i zrozumiały, ale nie trywializują złożonej i abstrakcyjnej problematyki filozoficznej. Dlatego można wierzyć, że praca ta spełni również funkcję edukacyjną i wypełni brak

materiałów dydaktycznych do nauczania filozofii na kierunkach przyrodniczych.

Jadwiga Mizińska

Prometeusz i Anteusz. Żydzi wobec komunizmu

*Jakże wszystko staje się jasne,
kiedy patrzy się z ciemnicy.*

U. Eco, "Wahadło Foucaulta"

Adam Schaff: Pora na spowiedź. Warszawa 1993. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 216 s.

"Pora na spowiedź"

Adam Schaff, w latach 50. "papież" polskiego marksizmu, w 60. "heretyk" i "rewizjonista", następnie działacz międzynarodowych organizacji badających perspektywy świata dotkniętego ekologicznym, społecznym i politycznym kryzysem, na swoje osiemdziesiąte urodziny napisał książkę zatytułowaną "Pora na spowiedź". Ma ona formę listów, korespondencji z samym sobą – między "Adamem" i "Schaffem".

Autor tłumaczy się z tej osobliwej formy tym, że nikt z zewnątrz nie kwapił się podjąć z nim rozmowy, dyskusji, a choćby i najostrzejszej polemiki. Stwierdza, że jego osobę otacza w Polsce zmowa milczenia, będąca ni to zemstą, ni to wyrokiem śmierci cywilnej. Z tego względu jest zmuszony przeprowadzić taką rozmowę sam ze sobą, udostępniając ów dialog wewnętrzny szerokiej publiczności.

Milczenie wokół poglądów i osoby Adama Schaffa, będące istotnie faktem, samo w sobie zasługuje na uwagę. Jest bowiem nader wymowne, stanowiąc symptom ogólniejszego zjawiska z pogranicza psychologii społecznej, socjologii, polityki i dziejów ideologii marksistowsko-komunistycznej.

Obecna postawa A. Schaffa, deklarującego się w swych "wyznaniach" jako zwolennik "socjalizmu humanistycznego", okazuje się kłopotliwa i niewygodna dla obu stron barykady. Mowa tu o nieco już zatartej granicy dzielącej przed rokiem 1980 "władzę" od "ludu", a potem Partię od Solidarności. Po wyborach z 1989 roku przekształciła się ona w linię

demarkacyjną odgraniczającą "komunistów" od "antykomunistów". Obydwa terminy trzeba opatrzyć cudzysłowem, jako że w Polsce na długo przed Sierpniem nikt już na dobrą sprawę nie utożsamiał się z komunizmem (nie wykluczając władzy i jej ideologów). Krach ortodoksji, związany ze śmiercią Stalina i oficjalnym potępieniem okresu "błędów i wypaczeń" był tak dojmujący, że aby ratować roszczenia panującej władzy do przedłużania egzystencji, należało dokonać pewnych modyfikacji, chociażby w sferze ideologii. Przejawem tego była głównie zmiana nazewnictwa. Zrezygnowano mianowicie ze słowa "komunizm" na rzecz "realnego socjalizmu".

Obowiązująca od tej pory nomenklatura (przyjmująca się zresztą z dużymi oporami, zwłaszcza w Związku Radzieckim) okazała się bardzo niefortunna. Podczas gdy w intencji władzy nowy termin miał sugerować odejście od utopii "komunistycznego raju" ku realiom, które zbyt już drastycznie jej przeczyły, w odbiorze społecznym nabierał ów termin niezamierzonego i ironicznego wydźwięku. "Realny socjalizm"

uwypuklał bowiem z jednej strony "nierealność" rzekomego komunizmu, z drugiej – kojarzył się silnie z "realizmem socjalistycznym", skompromitowanym kanonem uprawiania sztuki w epoce stalinowskiej. Władza używała go w znaczeniu pozytywnym, sądząc, że nacisk na realizm doda jej splendoru, natomiast opozycja, coraz liczniejsza w końcu lat 70., traktowała go sarkastycznie.

Istotnie, fatalna nazwa demaskowała to, co chciała ukryć: mianowicie że rozdzźwięk między teorią a praktyką jest tak ewidentny, iż akcent położony na *realność*, jedynie uwydatnia marność samej praktyki. Przy okazji symboliczne operacje na słowach, za którymi nie szły równie znaczące zmiany w polityce, niechcący naprowadzały społeczeństwo na podejrzenie, iż generalnie władza, straciwszy oparcie w swej ideologii i – poniekąd – machnąwszy ręką na jej autentyczność, ratuje swoją pozycję głównie za pomocą totalnej manipulacji językowej.

Z czasem ta podejrzliwość skierowana pod adresem Partii (charakterystyczne, że pojęcie Partii funkcjonowało właśnie

w tej postaci – nie uważano za konieczne wymieniania jej pełnej nazwy, jakby była jedyną, choć faktycznie – tylko jedną z trzech), przeniosła się wkrótce, już po zwycięstwie opozycji, na *władzę każdą*. W ten sposób obawa przed rzekomo wszechobecną manipulacją przybrała postać hiperpodejrzliwości przechodzącej niekiedy wręcz w paranoję. Jej objawem stała się niedawna nagonka na "komunistów", poparta wezwaniami do powszechnej "lustracji". Jako żywo przypomina ona znany z epoki stalinizmu schemat "rozliczeń", druzgocących "rozliczanych", procedurę krytyk i samokrytyk, w których chodziło nie tyle o rzetelną analizę postaw, co o napiętnowanie "odszczepieńców" znamieniem "wroga ludu" (czytaj: władzy).

Być może, to reguła, iż każda władza musi rozpoczynać swoje panowanie od "powszechnej spowiedzi", która ma wykluczyć z jej grona nielojalnych i przestrzec przed nielojalnością prawowiernych. W każdym razie na taką regułę wygląda dotychczasowa praktyka w krajach postkomunistycznych. Kłopot wszakże w tym, że w trakcie takich testów lojalności natrafia

się na niejasne, niejednoznaczne przypadki ideologicznych "mieszkańców". I wówczas po prostu zbywa się ich milczeniem.

Wydaje się, że A. Schaff stał się jedną z ofiar takiego właśnie zjawiska. Jego intelektualna i ideowa ewolucja okazała się na tyle skomplikowana, że nie podpadając pod prosty schemat "komunista-antykomunista", w ogóle wypadła z pola uwagi.

Dlatego jej bohater sam musi upominać się o dostrzeżenie go i w tym celu ucieka się do spektakularnej formy spowiedzi. Abstrahując tymczasem od kwestii jej szczerości, przyznać trzeba, że słusznie wytyka ona ślepią plamkę w oku zarówno obecnej władzy, jak i całego społeczeństwa. I właśnie dlatego jest niezwykle interesująca. Wskazuje bowiem na strefy zakazane dla myślenia, a w każdym razie - dla mentalności "rozliczeniowej", odziedziczonej od komunistów przez postkomunizm.

Rozliczni entuzjaści procedury śledzenia i potępiania "hańby domowej", wierząc w czystość swych intencji przywracania właściwych sensów elementar-

nym pojęciom prawdy, sprawiedliwości, godności etc., mimochodem wpadają w koleiny wyżłobione przez tych, którym zarzucają ideowe przestępstwa. Popołniają mianowicie grzech poznawczego manicheizmu polegający na upraszczaniu obrazu sytuacji idącym tak daleko, że popada ono w prostactwo, a w następstwie tego - w kolejne samozakłamanie. Na marginesie warto zauważyć, że ta procedura "rozliczeń", jak też "spowiedzi" świadczy o poważnych dewiacjach komunikacji społecznej, stanowiąc zastępcze formy, a nierzadko po prostu parodię dialogu. Jednocześnie nawet te namiastki dialogu dają się zinterpretować jako sygnał niezbywalnej potrzeby rzetelnej komunikacji, chęci bycia wysłuchanym i zrozumianym przez każdego uczestnika zbiorowości, zwłaszcza gdy owa zbiorowość jest poddana historycznej próbie dramatycznego czy wręcz tragicznego doświadczenia. Gdy pewien cykl się zamyka, kończy się któryś z kolei akt dramatu, jego bohaterowie schodząc z proscenium na drugi plan lub zgoła za kulisy, słusznie domagają się posłuchania u tych, którzy objęli grane przez nich

wcześniej rolę. Albowiem gra toczy się dalej, sztuka trwa, a historia zwykła się powtarzać. Żeby jednak w myśl proroctwa Marksa tragedia nie musiała się powtarzać jako farsa, wysłuchiwanie głosów odchodzących w przeszłość powinno stać się obowiązkiem żyjących i będących przy głosie, a także – głosu udzielających.

Z tego powodu, po opadnięciu emocjonalnej gorączki towarzyszącej widowiskowym i – na pierwszy rzut oka – radykalnym zmianom, warto podjąć hasło A. Schaffa "pora na spowiedź". Jeśli mimo wszystko istnieje jakiś trybunał historii rozsądzający i wyważający racje niedysyjnych przeciwników, winien się on kierować starożytną regułą: *audiatur et altera pars*.

Żydzi a komunizm – cognitive dissonance

Odżywianie zapotrzebowania na procedury "rozliczeń" i "spowiedzi" wolno traktować jako symptom społecznego kryzysu. Za R. Girardem przyjmuję, że istotą kryzysu jest zanik różnic. "Wielkie społeczne kryzysy, które sprzyjają kolektywnym prześladowaniom, są przeżywane

jako doświadczenie odróżnienia" (R. Girard: "Kozioł ofiarny", przeł. M. Goszczyńska. Łódź 1982, s. 48). Wbrew pozorom więc, to nie zbytnia unifikacja, ale nadmierne zróżnicowanie powoduje stan niepokoju, utraty poczucia bezpieczeństwa i tożsamości – znamiona kryzysowego doświadczenia. Chodzi przy tym o taki stopień *zróżnicowania*, które przekształca się w *odróżnienie*. Pojęcie to oznacza sytuację paradoksalną: poszczególni członkowie zbiorowości *różnią się* od siebie tak dalece, że zostaje zerwana między nimi jakakolwiek komunikacja, a w wyniku tego, upodobniają się do siebie na innym poziomie i pod innym względem. Stają się mianowicie – w tym samym stopniu – izolowanymi i samotnymi monadami. Na dłuższą metę grozi to istnieniu społeczności, jako że znikają więzi zapewniające jej choćby minimum integracji. Zbiorowa nieświadomość reaguje na te ekscesy zbiorowej świadomości tendencją do ustanowienia nowego źródła spójności, czynnika generującego "tkankę łączną" dla rozregulowanego organizmu. Właśnie wtedy, przy – by tak rzec – wyłączonej świa-

domości, włącza się wypracowany w historii na tego rodzaju okazje mechanizm "kozła ofiarnego". Jest on niejako *ersatzem* rozumności, z tą jednak różnicą, że rozum *sensu stricto* operuje schematem wyjaśniania w kategoriach przyczynowo-skutkowych, natomiast *quasi*-rozum zbiorowej nieświadomości ucieka się do schematu winy i kary. Bez względu na to, czy i w jakim stopniu dana traumatyczna sytuacja została sprowokowana przez ludzi świadomych tego, co czynią, "nieświadomość prześladowcza" intensywnie poszukuje perfidnych sprawców kryzysu. Daje się przy tym zauważyć osobliwą zależność: im bardziej bezradna czuje się "ofiara", tym więcej przebiegłości i perfidii przypisuje "katu".

Figura "kozła ofiarnego" jest przez Girarda rozpatrywana głównie w płaszczyźnie zachowań ludzkich. Obowiązuje w nich powtarzający się stereotyp: odróżnicowany i przerażony *thum*, dążąc do "oczyszczenia wspólnoty z elementów nieczystych" (*op.cit.*, s. 26) wskazuje na wybraną spośród siebie mniejszość, na którą przerzuca odpowiedzialność za klęskę. Owa mniejszość nie jest bynajmniej

przypadkowa. Musi posiadać pewne cechy predestynujące ją do spełnienia roli kozła ofiarnego, która – odnotujmy to od razu – jest rolą podwójną: winnego i odkupiciela zarazem. Złożenie w ofierze domnieманego sprawcy nieszczęścia (w społeczeństwach pierwotnych na drodze morderstwa, w wyżej cywilizowanych – poprzez napiętnowanie, moralne potępienie, społeczną izolację) przywraca zachwianą równowagę. Jednocześnie ustanawia silne więzy między wymierzającymi ofierze karę, produkując nowe *sacrum*, tyle że na zasadzie "złej wzajemności", współnictwa w zbrodni. Ponieważ kozłu ofiarnemu przypisana została wyjątkowa rola i ranga (był on wszak w stanie spowodować efekty przekraczające zwykłą ludzką miarę), przeto w przyszłości ma on szansę stać się przedmiotem adoracji.

O ile cały ten schemat okazał się niezwykle skuteczny, gdyż w ciągu całej historii efektywnie odtwarzał nadwątlone więzi i reprodukował zdegradowane *sacrum*, za każdym razem inne, o tyle nie może dziwić jego obecność także i współcześnie. Jednakże musi on też budzić

zdumienie gdy występuje w społeczeństwie, które samo siebie uważa za racjonalne i wzdraga się przed samookreśleniem w kategoriach nierozumu. A przecież ideologia racjonalności i racjonalizmu nigdy – nawet w Oświeceniu – nie święciła takich triumfów, jak w wieku XX, stuleciu powszechnej oświaty, kultu nauki i jej młodszej, lecz praktyczniejszej siostry – techniki.

Mamy więc do czynienia z sytuacją niezrozumiałą i poniekąd obraźliwą. Oto bowiem w pełnym świetle Rozumu, a zatem – jasnej świadomości uczonych (odpowiednikiem w odniesieniu do zbiorowości jawi się wiara w potęgę tzw. świadomości społecznej) dokonuje się zbrodnia holocaustu. Jej inicjatorami są Niemcy – naród pretendujący do najbardziej kulturalnego w Europie, a więc – wybrany spośród wybranych. Jej ofiarami zaś padają Żydzi. Chciałoby się powiedzieć – jak zwykle, bowiem w historii europejskiej antysemityzm, stale obecny, utrzymywał obydwie strony w ciągłym pogotowiu do odegrania po raz kolejny znanego scenariusza. Ale tym razem dochodzi do istotnych modyfi-

kacji stereotypu. Po pierwsze: pojęcie "Żyd" zostaje zdefiniowane "naukowo". O byciu Żydem przestają po prostu decydować pochodzenie i wyznanie. "Kto jest Żydem – decyduje ja". Te słynne słowa Himmlera z czasem przestały mieć pojedynczego autora. Po wtóre: treść podkładana pod nazwę Żyd rozszerzyła się w ten sposób, że los przypadający kozłom ofiarnym jako winnym złego porządku świata, rozciągnięty został na "niższe rasy", bez względu na kompletny brak kulturowego czy religijnego pokrewieństwa z Żydami. Po trzecie, w końcu, w wieku XX ukuty został termin "żydokomuna", zbitka pojęciowa wprowadzająca znak tożsamości pomiędzy dwiema kategoriami: Żyd i komunista.

Tak więc pojęcie Żyda z jednej strony uległo niesłychanemu rozszerzeniu, stało się słowem-workiem, do którego można wrzucać *wszystkich* aktualnych i potencjalnych "winnych", z drugiej natomiast – specyficznemu zawężeniu. Termin "żydokomuna" sugerował nietożsamość wszystkich Żydów ze "złymi" Żydami. Dzięki mglistości, jaką współcześnie

osiągnęło to słowo, stało się ono znakomitym wynalazkiem, wygodnym na każdą okoliczność wytrychem do łamania zagadek wszelkich katastrof i kataklizmów. "Żyd" jako winowajca każdego zła okazał się tak idealnym wyjaśnieniem faktu, że w krajach, w których z różnych przyczyn zabrakło odpowiedniej, znaczącej ilości autentycznych Żydów, przyszło ich obecnie sztucznie mianować.

Rzecz szczególna, że nawet najbardziej oświecone i intelektualne wyrafinowane osoby nie posiadają niejednokrotnie zabezpieczenia przed popadnięciem w tę tandetną i źle zamaskowaną pułapkę. Widocznie tęsknota podświadomości do jedno-jednoznacznych wyjaśnień rzeczy złożonych jest tak przemożna, że nie kłóci się ona z dążeniem świadomości do wnikliwych analiz gdzie indziej. Umysł wówczas jak gdyby się rozdwa: prowadzi racjonalne dociekania tam, gdzie rzecz dotyczy się "chłodnych" obiektów przyrodniczych, natomiast ześlizguje się na niższy szczebel, przechodząc od schematu skutek-przyczyna do stereotypu: wina-kara, wtedy gdy chodzi

o obiekty "gorące" – stosunki między ludźmi.

I właśnie wówczas, kiedy przychodzi chłodnym intelektualistom odnieść się do bolesnych, obchodzących ich jako ludzi (a więc nieprofesjonalnie) zjawisk społecznych, uruchamiają nierzadko niezawodny, wszechwyjaśniający stereotyp: "wszystkiemu są winni Żydzi i komuniści". Popularność tego stereotypu wzrasta w ustroju totalitarnym, bez względu na jego wersję – brunatną czy czerwoną. Istotą totalitaryzmu jest bowiem unifikacja wszystkiego, co da się zunifikować, łącznie (i na czele) z mentalnością.

W zakresie myślenia zaczyna wówczas obowiązywać przewaga syntezy nad analizą; swego rodzaju parodystyczne wydanie Kantowskiej kategorii syntetycznego *a priori*. Ono właśnie staje się generatorem, czy też raczej wyzwalaczem tkwiących w kulturowej pamięci stereotypów. O ile wszelkie sytuacje kryzysowe powodują co najmniej czasowy regres do prymitywnych form postaciowania świata, o tyle to cofnięcie się oznacza także nawrót do jego dualizacji, to jest – do ujmowa-

nia całej jego różnorodności w binarne opozycje. Dla takiego "cofniętego rozwoju" przerażonego i sparaliżowanego umysłu, zawadą poznawczą stają się wszelkie niejednoznaczne, nie dające się zaliczyć do jednej z dwóch przeciwstawnych, antynomicznych kategorii, obiekty. Na tej właśnie zasadzie w społeczeństwach przeżywających ekonomiczne i polityczne zapaści, przedmiotem poznawczego dysonansu bywają Żydzi.

Figura Żyda, wygrzebana ze śmietnika podświadomości, także dla cywilizowanych i oświeconych Europejczyków odżywa jako niesłychanie użyteczna. Naród, który sam siebie wyróżnił spośród innych, mianując się narodem wybranym, jest niejako gotowym łupem dla mentalności prześladowczej, która pragnie odzyskać zachwianą równowagę poprzez wskazanie naprędce winnego. Jak to pokazuje R. Girard, a w ślad za nim Z. Bauman w pracy "Nowoczesność i zagłada" (Warszawa 1992), stereotyp Żyda nadaje się do odegrania tej roli ze wszechmiar. Głównie z powodu swej nietypowości, albowiem Żyd-Wieczny Tułacz, wykorzeniony

ze stałego miejsca zamieszkania, osiadły wśród tubylców, lecz piastujący swą własną odrębność, obcy wśród swoich, podobny pod względem wiary, ale w szczegółach odmienny, staje w poprzek wszystkich podziałów. Jawi się jako twór hybrydalny, skupiający w sobie całą niejasność wypadniętego z utartych kolein świata. I dlatego jest tak atrakcyjny dla straumatyzowanej – jednocześnie obolałej i historycznej – świadomości. Postać Żyda, sama w sobie charakterystyczna i nawet wizualnie przykuwająca uwagę, a więc obrysowana wyraźnymi konturami, zarazem przy tym tajemnicza i zagadkowa od wewnątrz, doskonale wypełnia powszechne zapotrzebowanie na pospieszne rozwiązanie problemu winy i kary. W sukurs sprawdzonemu w toku historii stereotypowi, w wieku XX przychodzi ponadto spiskowa teoria dziejów.

"Żydokomuna" a spiskowa teoria dziejów

Koncepcja kozła ofiarnego, aczkolwiek rodem z prehistorii, staje się zbyt ogólnikowa, by wyjaśnić niesiabnące "powo-

dzenie" antysemityzmu współczesnego. Albowiem w swej postaci "klasycznej" opisanej przez R. Girarda, mechanizm zastępczej ofiary funkcjonuje nade wszystko w zbiorowościach prymitywnych. Przybiera w nich postać nieświadomego imperatywu piętnowania i składania rytualnej ofiary z "odmieńców", których następnie poddaje się sakralizacji.

Antysemityzm naszego stulecia natomiast jest antysemityzmem "oświeconym". Dla jego uzasadnienia wprzęgnięty został Rozum wraz z jego najcenniejszymi osiągnięciami – nauką i techniką. Przywołany wyżej tytuł książki Z. Baumana uwydatnia ten zdumiewający eksces Rozumu – że mianowicie tym razem to nie ciemnota popółstwa i bezmyślność tłumu, ale elita oświeconego społeczeństwa (rzecz jasna, nie w całości), zaangażowała swój intelekt w "naukowe" uzasadnienie słuszności rasizmu i – konsekwentnie stąd wynikającego – programu eksterminacji Żydów jako rasy szkodników. Oczywiście, techniczna strona realizacji projektu masowej zagłady mogła w tej sytuacji być potraktowana jako kwestia

neutralna moralnie, jeszcze jeden aspekt problemu asenizacji, oczyszczania środowiska społecznego ze szkodliwych mikrobów.

Dziś łatwo przypisywać winę nauce, która oddała swoje usługi nazistowskiej ideologii. Nie tłumaczy to jednak bynajmniej antysemityzmu w krajach będących w opozycji do Hitlera. Najwidoczniej jego źródło tkwi gdzie indziej, skoro mętne wody zeń wypływające rozlewają się też na kraje i narody, którym Hitler zgotował los podobny do żydowskiego. Stąd nasuwa się potrzeba poszukiwania ogólniejszego paradygmatu etykietowania wszystkich społecznych nie-szczęść mianem "żydowskiego spisku". Wolno przypuszczać, że ta innowacja – sugerowanie świadomej zmowy – ma swoją praprzyczynę w filozofii Hegla. Naturalnie, nie chodzi tu o rzeczywistą treść i wymowę Heglowskiego systemu jako takiego. Rzecz w tym, że twórca "Fenomenologii świadomości" wprowadził do "obyczajów" intelektualnych wzorzec myślenia o dziejach ludzkości w kategoriach ich *sensu*. Fundamentem jego koncepcji jest teza, że historia taki sens posiadać musi

i faktycznie go posiada. Realizuje się on jako stopniowe, rozciągnięte w czasie, urzeczywistnianie się utajonych zamierzeń Absolutu. Cel i sens egzystencji bytu, istniejący od początku, wciela się na różnych etapach ewolucji w trudno rozpoznawalne formy. Chytry Rozum nierzadko maskuje swe zamiary, używając ludzi jako ich nieświadomych wykonawców. Niby Duch Święty siada, kędy chce. I dopiero na końcu, po zatoczeniu olbrzymiego kręgu, powracając do portu, Odyseusz rozpoznaje, że nic, co mu się przydarzało nie było przypadkowe. Wszystko zmierzało do wypełnienia przeznaczenia – osiągnięcia wolności jako zrozumienia konieczności.

Kołowrót dziejów w wersji Hegłowskiej, zmodyfikowany jako krążenie po spirali wspinające się na wyższy poziom, okazał się być niesłychanie pociągający dla dwudziestowiecznego totalitaryzmu. W szczególności przydatne były dwie wywodzące się stamtąd idee: idea postępu, czyli wznoszącej się, progresywnej linii historii, oraz idea protoplanu: realnie istniejącego, lecz zakrytego przed wzrokiem zwykłego czło-

wieka zamysłu *a priori* przesadzającego o jego losach.

Idea postępu w aplikacjach totalitarnych posłużyła do poszukiwania i tępienia tych, którzy stają mu na zawadzie ("niższej rasy", przeszkadzającej sukcesom "rasy wyższej"; "gorszej klasy" nie dopuszczającej do władzy "klasy lepszej"). Tu jednak hitleryzm różnił się od stalinizmu, bowiem pierwszy wskazywał na Żydów i w ogólności – niearyjczyków, drugi zaś na burżuazję. Zbliżenie nastąpiło dopiero w drugim punkcie. Tu mianowicie, gdzie obydwie totalitaryzmy musiały się spotkać we wspólnym dążeniu do wykrycia *spisku*.

Pojęcie spisku, co interesujące, w hitleryzmie pojawia się u jego początków, zaś w komunizmie – u jego schyłku.

Żydzi są winni, ponieważ ich inteligencja i spryt (populistyczne wydanie "chytrości rozumu") doprowadziły do wszechświatowego, głównie ekonomicznego, spisku mającego na celu wydziedziczenie ze wszystkich dóbr aryjczyków – głosi propaganda nazistowska, argumentując tym niezbędną wyeliminację ich w ramach walki o byt i przestrzeń życiową.

Komunizm nie mógł sobie pozwolić na taką formułę w swym okresie wstępującym, choćby dlatego, że rola wroga była już obsadzona przez klasę burżuazyjnych ciemniejszych ludzi. Ale również z innego zasadniczego powodu. Tego oto, że utopia komunizmu nazbyt przypominała marzenie Żydów o Ziemi Obiecanej i wobec tego miała olbrzymią moc przyciągającą dla wszystkich wywłaszczonych: zarówno dla wyzutyk z własności środków produkcji robotników, jak i dla pozbawionych stałego miejsca na planecie Żydów. Komunistyczna wizja ziemskiego raję stanowiła zatem projekcję żywotnej a zablokowanej potrzeby wszelkich banitów. Do stałych i konstytutywnych atrybutów człowieka należy potrzeba przynależności i zakorzenienia. Jej niezaspokojenie czy to w postaci losu Żyda-Tułacza bez stałego adresu, czy też proletariusza bez ojczyzny (jako że kraj pochodzenia traktował go po macoszemu) spowodowało, iż komunizm jawił się upragnioną ojczyzną jednocześnie dla "niższej rasy" i "pokrzywdzonej klasy".

Mit komunistyczny to mit ponownego przywiązania do ziemi, zakończenia okresu bolesnej bezdomności i poniewierki. "Ojczyzna proletariatu", ponadnarodowa wspólnota Związku Radzieckiego i – szerzej – komunistycznego obozu, musiała więc przyciągać także Żydów. Zwłaszcza tych, którzy zdążyli uprzednio – przez proces asymilacji – utracić ten zastępnik ojczyzny, jaki im oferowała wierność tradycji religijnej. Nic dziwnego, że obydwie strony w pierwszej fazie fundowania się komunistycznego ustroju wzajemnie się potrzebowały. Władza komunistyczna otwierała się dla Żydów, gdyż byli oni potencjalnymi entuzjastami i lojalnymi obywatelami Ziemi Obiecanej (jak pojmowali nową ojczyznę). Z kolei Żydzi, gdzie indziej czujący się zbędni i wydani na łaskę gospodarzy, teraz zyskali perspektywę "bycia u siebie". Tak więc "romans" zadekretowany przez język jako "żydokomuna" miał realne przesłanie, a jego strony – wzajemną ku sobie skłonność.

Warto w tym punkcie zaznaczyć charakterystyczną rozbieżność w zakresie stosunku do komunizmu – chłopstwa.

W Związku Radzieckim i w innych krajach, w których nastąpiła powszechna kolektywizacja, komunizm zyskał sojuszników w chłopach, tym razem ziemi dosłownie pozbawionych. W Polsce, gdzie proces upaństwowienia ziemi się nie powiódł, indywidualni chłopci (obok Kościoła) zostali najzawziętym ośrodkiem oporu przeciwko komunistycznej władzy.

Powyższa analiza naprowadza na wniosek (będący powtórzeniem i wzmocnieniem naszej hipotezy), że utopia komunizmu, a potem jego polityczna realizacja, najsilniej przemawiała do tych odłamów i warstw społeczeństwa, które z racji już to swojej historii, już to społecznego położenia, były "luźno zakorzenione" (wyrażenie K. Mannheim'a). Do dotąd wyliczanych: Żydów, proletariatu, "biedaków" należy jeszcze dopisać inteligencję. Ja to zresztą miał na uwadze K. Mannheim jako warstwę unoszącą się ponad klasowymi podziałami i z tego powodu jednocześnie wolną oraz nieszczęśliwą.

Krach ekonomiczny, polityczny, ideologiczny i moralny komunistycznego imperium

wyzwolił u jego byłych mieszkańców odwieczny schemat poszukiwania sprawców zła. W pierwszej bowiem chwili po katastrofie ideologia antykomunistyczna bez żadnych poprawek posłużyła się gotowym wzorcem propagandy antykomunistycznej uprawianym na Zachodzie. To, co do niedawna uchodziło za "ziemski raj" zostało okrzyknięte "imperium zła". Zła bezwzględne i absolutne, dla którego nie ma żadnego tłumaczenia ani przebaczenia. Naturalnie, musiało za tym pójść polowanie na czarownice. Polowanie z nagonką o tyle teraz nietypowe, że przez lata panowania ustroju role "zwierzyny" i "myśliwego" całkiem się pomieszały.

Antysemityzm pospolity a antysemityzm oświecony

Podsumujmy: tradycyjny antysemityzm znajdował się w "szczęśliwym" położeniu w stosunku do antysemityzmu współczesnego. Ten pierwszy mógł bowiem posiłkować się prostym podziałem na Żydów i nie-Żydów. Za kryterium tego dualistycznego podziału służyło pochodzenie i wyznanie, specy-

ficzna obyczajowość ortodoksyjnych Izraelitów. Ponadto miał on "ontyczne" przesłanki w faktycznym istnieniu mniejszości, która dbała o swoją odrębność, aczkolwiek zamieszkiwała pośród większości. Sytuacja komplikowała się w miarę, jak na przełomie XIX i XX wieku zarysowała się wśród Żydów tendencja do asymilacji, wtapiania się w społeczne i kulturowe otoczenie przybranej ojczyzny. Jednakże drastyczne zmiany nastąpiły w momencie powstania ustroju komunistycznego i ogłoszenia jego panowania w "ojczyźnie proletariatu". Komunistyczna utopia ignorowała naturalne więzi narodowe, religijne i kulturowe, czyniąc fundament przynależności do nowej wspólnoty fakt upośledzenia pokrzywdzonej przez historię klasy. "Proletariusze wszystkich krajów" wyzyskiwani i ciemieni w miejscu urodzenia, mieli się teraz łączyć w osobliwy rodzaj wspólnoty, dla której zasadniczą podstawą było *subiektywne* poczucie wspólnego losu. Tak więc od początku idea internacjonalizmu, konstytutywna dla komunizmu, wymagała abstrahowania od zakorzenienia w ma-

cierzystej historii, kulturze i obyczaju i ustanowienia nowej ojczyzny w sferze, w gruncie rzeczy, symbolicznej. Wymagało to niejako zgwalcenia naturalnych przyzwyczajzeń i umysłowych nawyków. W szczególności – oderwania się myślowego od Ziemi realnej, od lokalnego "domu", miejsca, w którym łączy się pamięć przodków i własne, choćby i nawet najgorsze doświadczenia, a zamiast tego, stworzenia sztucznej więzi z – rzekomo osiągniętą – Ziemią Obiecaną.

Przestawienie się na tak przeciwstawną zdrowemu rozsądkowi płaszczyznę myślenia było najłatwiejsze dla tych zbiorowości, które – jak żydowska – żyjąc przez wieki w diasporze, nauczyły się sytuować utraconą, rzeczywistą Ziemię w perspektywie czasowej. Mit Ziemi Obiecanej, pozwalający przetrwać najgorsze nieszczęścia, nabrał znamion głębokiej wiary, że kiedyś owa obietnica naprawdę się ziści. Powstanie komunizmu już w charakterze nie jedynie wizji, ale realnego ustroju, musiało przyciągać nade wszystko tych, dla których doświadczenie wygnania i wydziedziczenia było najdotkliw-

sze. W ten sposób można próbować wyjaśnić fakt licznego akcesu do komunizmu osób pochodzenia żydowskiego.

Zakładając, że nim utopia komunistyczna przemieniła się w ideologię, to jest – opróżnioną z wartości procedurę manipulowania świadomością społeczną przez cyniczną władzę, przeżyła ona okres funkcjonowania jako obiektu żywej wiary, nie sposób odmówić pewnej części jej wyznawców autentycznych pobudek.

Wielce prawdopodobne, że najwięcej entuzjastycznych zwolenników komunizm jako *quasi*-religijna wiara znalazł właśnie wśród Żydów. Byłoby to w pełni psychologicznie i socjologicznie zrozumiałe. Obietnica stałego miejsca na ziemi, w dodatku uprzywilejowanego dla najbardziej pokrzywdzonych, zapewne przemawiała do ludzi prostych. Dla oświeconych i wykształconych – a takich był wysoki procent wśród ludności żydowskiej (jako że wykształcenie stanowiło główną drogę do społecznego awansu), dodatkowo liczyło się racjonalne uzasadnienie dziejowej konieczności komunizmu. Tym bardziej, że doktryna

wybranej klasy poniekąd przypominała wzór meşjanizmu. Wystarczyło pod kategorię narodu podstawić klasę, a cała reszta już się zgadzała. Z jednym, naturalnie, wyjątkiem: tym, kto najpierw spowodował wygnanie, a potem wybranie i zapewnienie rekompensaty nie był już Bóg, lecz Historia.

Reasumując: jeśli kiedyś badacze wykażą prawdziwość przypuszczenia, że wśród zdeklarowanych komunistów przeważali Żydzi (w każdym razie procentowo), to trzeba przyznać, że wszystkie warunki mentalnościowe po temu zostały spełnione. Wizja komunizmu odpowiadała na zakorzenione przez wieki i zinternalizowane w skali masowej zapotrzebowanie na odzyskanie utraconego miejsca na Ziemi.

Tym samym byłoby to jakieś wytłumaczenie dla powstania i utrwalenia się stereotypu "żydokomuny". Rzecz oczywista, że wśród komunistów najbardziej przekonanych i zaangażowanych byli też nie-Żydzi. Jednakże potoczna mentalność nastrojona antykomunistycznie (wskutek negatywnych doświadczeń pod panowaniem

nowej władzy) łatwo poddawała się temu stereotypowi.

Okazał się on niezwykle pociągający również dla ludzi wykształconych w sytuacji kra-
chu komunizmu. Jak zwykle w okresie kryzysu, włączył się i teraz mechanizm kozła ofiar-
nego. Ponieważ intelektualści sami stali się kandydatami do tej roli, gdyż w trakcie istnienia
realnego socjalizmu większość z nich w jakimś stopniu uczestniczyła i współdziałała
w jego podtrzymywaniu, stąd tendencja, by grupa oskarżo-
nych, w celu zyskania uniewin-
nienia, wskazywała jako na "naprawdę winną" – mniejszości we własnym łonie. To, co
napisałam nie ma na celu oskarżania oskarżycieli, lecz po-
kazanie, że fenomen ten pod-
pada pod pewną ogólniejszą
regułę, taką oto: "Przesady mo-
gą służyć jako łącznik między
czasem «normalnym» a «kryzy-
sowym». Pełnią również ważną
funkcję unifikacji grupy. Absur-
dalność logiczna zarzutów jest
podporządkowana temu celowi.
Dzięki niej «wyłączone» zostaje
myślenie racjonalne, co ma
ułatwić współdziałanie. Napast-
nicy biorący udział w pogro-
mach stawali się jednolitym

tłumem, jakim nie byli nigdy
przedtem ani potem" (A. Cała:
"Wizerunek Żyda w polskiej
kulturze ludowej". Warszawa
1992, s. 151).

Zasada zachowania "ludu"
w sytuacjach dezintegracji spo-
wodowanej kryzysem odróżno-
rodnienia, przenosi się, nieste-
ty, także na "oświeconych". I oni
w swej znacznej części dążą do
"wyrzucenia" z siebie źródła
"zarazy" i uniewinnienia siebie
przez zrzucenie winy na innych.
Dlatego z takim zapałem po-
dejmują śledztwo mające wyka-
zać kto spowodował "hańbę
domową", zaczynając od roz-
liczania "obcych" ideowo i do-
rabiając im obcość ideologiczno-
rasową.

**Dlaczego nikt nie chce
rozmawiać z Adamem
Schaffem?**

"Pora na spowiedź" A. Schaf-
fa to głos wołający na puszczy.
Spróbujmy dociec, dlaczego
nikt nie odpowiada na jego
wołanie. Wolno się domyślać
dwojakiej motywacji u dwóch
domniemanych adresatów. Zde-
klarowani antykomuniści, ci,
którzy uzurpują sobie rolę
lustratorów, nie są zaintere-

sowani rozmową z osobą, która jeszcze dziś, po spektakularnej kompromitacji "komuny" opowiada się za komunizmem (co prawda, w postaci zreformowanej, "socjalizmu humanistycznego").

Nie ma sensu stawiać zarzutu o kolor czerwony komuś, kto twierdzi, że jest, był i zawsze będzie purpurowy. Ale dlaczego milczą także ci, którzy zachowywali się, myśleli i działali podobnie jak A. Schaff?

Myślę, że wśród tej grupy (do której i sama się zaliczam) "zmowa milczenia" może mieć dwa różne powody. Pierwszy, to obawa, by wchodząc w dysputę z "czerwonymi" samemu nie zostać zakwalifikowanym do napiętnowanych. Lepiej przeczekać najgorszy czas rozliczeń siedząc cicho. Zwłaszcza, że nie wiadomo, na czyją stronę ostatecznie szala się przeważa.

Ale jest też inny powód milczenia wokół Schaffa. Ten może, iż w jego wykonaniu samoobrona – bo owa "spowiedź" ma więcej elementów napastliwości niż pokajania – jest w gruncie rzeczy użyciem tej samej broni, jaką się zostało zranionym.

Mój generalny zarzut wobec "spowiedzi" autora sprowadza

się do tego, że w istocie nie jest ona wyznaniem własnych przewinień czy błędów, lecz stemieniem oskarżeń, czasem wręcz agresywnych ataków na rzeczywistych i potencjalnych polemistów. Zamiast wyznań w rodzaju tych, jakie zapoczątkował św. Augustyn, a które polegają na dociekaniu winy własnej, rzekomy pokutnik wybiela siebie w każdym punkcie, zaznaczając ponadto, że pewne okresy swojej biografii celowo przemilcza. Trudno uwierzyć w autentyczną potrzebę rzetelnej rozmowy czy choćby wnikliwego wysłuchania, skoro Schaff nazywa swoich czytelników "zaszkowanymi ciołkami". W powodzi inwektyw znikają momenty rzeczywistości zasługujące na uwagę i namysł, jak np. analiza roli Kościoła czy "przepowiednie" ekologicznej i demograficznej katastrofy.

Odnosi się wrażenie, jak gdyby autor – bądź co bądź filozof – ześlizgnął się na poziom swoich adwersarzy. Momentami jego wypowiedzi tonem, agresywnością i niechęcią do ludzi przypominają styl "NIE" Urbana. Z tego też względu trudno wziąć na serio wyznanie "ekoekumenicznego socjalizmu".

Jeśli mimo wszystko książka zasługuje na uwagę, to głównie jako fenomen socjologiczny. Schaff często przywołuje swoją dewizę życiową: "bać się, bać". Strach przed strachem nie jest wszakże odwagą. W ogóle tam, gdzie występuje strach trudno mówić o warunkach do rozmowy, która ze swej istoty wymaga minimum poczucia bezpieczeństwa i minimum zaufania interlokutorów do siebie.

"Pora na spowiedź" pozostanie dokumentem epoki agresji jako modelu regulacji stosunków między ludźmi. Jest ona jednak bardzo ważna jako pierwszy głos domagający się posłuchania dla oskarżonych. A fakt, że mogła się ukazać na rynku rodzi nadzieję, że kiedyś, być może już wkrótce, ucichnie Szekspirowskie "wściekłość i wrzask" i zaczniemy się nawzajem wysłuchiwać. Albowiem *dialog* – ideał społecznej ko-

munikacji – zaczyna się dopiero tam, gdzie pojawia się nie tylko wolność mówienia tego, co chce się powiedzieć, ale także – i nade wszystko – wolność słuchania. To ostatnie potrzebuje wszakże uwolnienia się słuchacza od obsesji, uprzedzeń, stereotypów – oczyszczenia i rozszerzenia przestrzeni wewnętrznej.

Słuchając uważnie innego, wychodzimy na zewnątrz z ciemnicy umysłowej jaskini, do której zagoniły nas lęki i urazy. A wówczas nie wszystko okazuje się jasne. Ale próba rozumienia siebie i innych polega właśnie na uświadomieniu sobie "wielkiej tajemnicy" człowieka i podchodzenia do niej "z bijącym sercem" – jakby powiedział M. Buber (M. Buber: "Problem człowieka". Przeł. J. Doktor. Warszawa 1993).